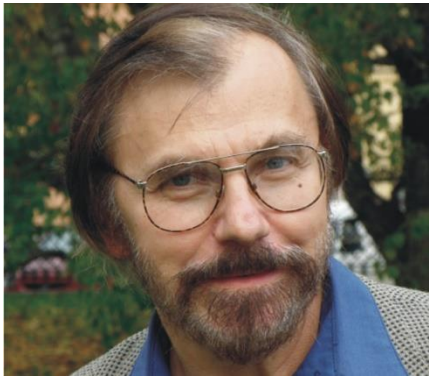


Listy do Pani A. (191)



Fot. Andrzej Dębowski

Wzruszenia i wzruszonka

Droga Pani!

Często można usłyszeć pytanie, czy poezja jest potrzebna? A jeśli tak, to komu? Wiele tekstów poświęconych krytyce literackiej stawia podobne pytania, choć podejrzewam, że nikt nie oczekuje wiążącej odpowiedzi. Bo właściwie taka odpowiedź nie istnieje.

Daleki jestem od twierdzenia, a i Pani zapewne także, iż poezja wpływa na losy świata, że budzi szlachetność; że gdyby jej nie było, itp. To są po prostu naiwności wyrażane w sposób patetyczno-archaiczny. Poezja nie wpływa na nic, ani też nie uszlachetnia, podobnie jak cierpienie, co zauważył ksiądz profesor Józef Tischner.

Są jednak ludzie, którym poezja bywa potrzebna, a niektórzy nawet i w cierpieniu widzą pozytyw. Oczywiście mam na myśli tych, którzy nie są masochistami. Wielu „cierpi za miliony”, ale w czasach postępującej inflacji to się coraz mniej opłaca. Ale poezja? Co więc z poezją?

Wyznam Pani, że pomimo wszystko poezja jest mi potrzebna. Nie dla taniego „wzruszonka”, bo to jest dobre dla kilku nawiedzonych paniuś, ale dla poruszenia umysłu, dla refleksji, która – na zasadzie kuli śniegowej – obrasta w coraz to nowe pytania, staje się wyzwaniem dla umysłu. Ale żeby tak było, musi być odkrywczą w sensie literackim, zaskakiwać niebanalnymi metaforami, skojarzeniami, bo tylko w ten sposób może wywołać pożądane asocjacje. Musi być autentycznym wzruszeniem intelektualno-emocjonalnym. To, co we mnie budzi jakieżś refleksje, lub staje się przygodą intelektualną, dla kogoś innego może być zwykłym głupstwem. I vice versa. Dlatego na tak stawiane pytanie odpowiedzi nie ma, a każda nadęta odpowiedź ma wartość i skutek bąka puszczanego w towarzystwie.

Ostatnio coraz częściej odchodzę od pisania recenzji z tomików poetyckich. Ale są takie książki, które szczególnie przykuwają moją uwagę, dają asumpt do snucia refleksji, do zastanawiania się nad wszelakim sensem, wreszcie do tworzenia zupełnie własnych

teorii egzystencjalnych. Czasami owe „teorie” nie dają się przełożyć na język dyskursywny. Czy miała Pani kiedyś takie uczucie, że osiągnęła jakąś wiedzę, ale tego nie da się wyrazić, nawet gdyby bardzo się chciało to komuś opowiedzieć? Jeśli takie wrażenia wzbudza czytanie poezji, to znaczy, że mamy do czynienia z tekstami dobrymi, inspirującymi, poszerzającymi naszą wewnętrzną wiedzę o świecie i... „zaświecie”.

Ostatnio trafiłem na taki tom. W zasadzie nie ja trafiłem, tylko mi przesłał Krzysztof Lisowski (ostatnio często do siebie pisujemy) swój niedawno wydany zbiór wierszy „Trzeba czasu”.

Można powiedzieć, że są to wiersze w swojej wymowie tragiczne, pisane bowiem podczas śmiertelnej choroby żony poety. Nie ma tu jednak rozpaczki wyrażanej wprost. Jest natomiast głęboka refleksja nad sensem ludzkiego życia; wspomnienia nakładające się na rzeczywistość, w której te wiersze powstawały, ekspresyjne obrazy, ale bardzo oszczędne, stonowane. To zapis osobistej, tragicznej utraty, przemijania; przejmujący goryczą, ale jednocześnie utrwalający chwile, które odeszły. Mówi poeta o nich ze stoickim spokojem. Wiersze głęboko emocjonalne, ale autor „Trzeba czasu” nie pozwala na niekontrolowaną erupcję uczuć. Budzą te utwory refleksje nad tym, że oto coś się bezpowrotnie kończy, ale jednocześnie wtedy otwierają się nowe perspektywy, rozpacz może być zalążkiem innych doznań. Polecam Pani te świetnie napisane teksty, które – choć tak wstrząsające – nie pozostawiają nas w beznadziei. Obok tych przesłała rzeka język, metaforyka, rzadko dziś spotykane, tak bardzo perfekcyjne opanowanie poetyckiego warsztatu. To właśnie przykład poezji bezsprzecznie potrzebnej. Proszę ją kontemplować częściej niż jeden raz. W trakcie każdej następnej lektury objawia się tutaj znowu coś nowego, co podczas poprzednich od razu nie rzuciło się nam w oczy. To jest owa „głębina poezji”, jakże bogatej w przesłania, objawiającej za każdym razem coś nowego. I taka właśnie jest twórczość Krzysztofa Lisowskiego.

Coraz częściej mam poczucie kurczenia się czasu, dochodzenia do jakiejś ściany. Jakiej? Nie wiem. W każdym razie zaczynam żyć przeszłością. Z drugiej strony ostro zdaje sobie sprawę, że nie ma żadnych powrotów. Nie będę beztrojskim chłopcem, uczniem, studentem. Dziewczyny, które mi się podobały, z którymi miałem bliższe kontakty, dziś są starszankami, jeśli w ogóle żyją. Dzieci, które były małe, to dziś stare pryki. Nawet miasto jest inne, drzewa jakby nie te same. Tak. Nie ma do czego wracać, trzeba żyć w czasie sobie przypisanym. Paradoks polega na tym, że sam czuję się na trzydziestolatka. Do swoich niegdysiejszych dziewczyn dziś pewnie mówiłbym „proszę babuni”. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że one by się dziwiły: „to ty jeszcze żyjesz”? Taka dziwna, choć znana egzystencjalna karuzela, z czego nie zdajemy sobie sprawy w młodości.

A więc – jak już Pani wspominałem – uciekam w lekturę. Niedawno się zamknąłem we „Wspomnieniach o Warszawie” Ignacego Ba-

lińskiego (1862-1951). Znakomity poeta, pisarz, mąż stanu, zwał w tych porywających, niezmiernie ciekawie napisanych wspomnieniach, kawał swego żywota. Wprawdzie tamtych czasów nie pamiętam z autopsji. Wbrew temu co piszę Pani wyżej, nie jestem aż tak stary, ale znam różne szczegóły i wydarzenia z innych wspomnień, a także z rodzinnych opowieści; już jako małe dziecko fascynowałem się dawnymi czasami. Pamiętam, że pytałem starszych „jak to było przed wojną”. Namiętnie czytałem powieści, nowele i kroniki Prusa, już nie wspominając o wielokrotnych powrotach do „Lalki”.

Teraz więc czytałem opowieści Balińskiego ze szczególnym zainteresowaniem, przenosząc się niejako do tamtej odległej epoki. Wtedy problemy współczesne, zmartwienia codzienne jakby błady, traciły na znaczeniu, miałem poczucie własnej ponadczasowości. Oczywiście, to złudzenie, ale jakże miłe. Oto po co nam poezja, po co literatura. Głęboko współczuję tym wszystkim, którzy nie czytają. A może niesłusznie? To tak, jakby mnie współczuto, że nie słucham disco polo. Nawiasem mówiąc, Pani chyba też nie jest miłośniczką podobnej muzyczki?

Ania kupiła mi następną książkę, również wspomnieniową, Stanisława Niewiadomskiego „Warszawa jakiej nie ma”. I znowu oddaliśmy się w czasie od współczesności. Tej ogłupiałej, pełnej nierealnych obietnic, skankania sobie do gardeł ludzkich kundli (z całym szacunkiem dla czworonożnych wielorasowców), diabelskich wojen – zresztą co będę Pani wymieniał od czego. Pani też żyje w tym bagnie, a więc doskonale wie, co mam na myśli.

Dawnych czasów nie idealizuję naiwnie. Też bywało podłe. Kwitło karierowiczostwo i łapówkarstwo, najwięksi durnie, kpy, osienki oraz – używając określenia Henryka Sienkiewicza – zasańce, zdobywali najwyższe urzędy i stanowiska. Tak jest do dziś. Nawet niektóre nazwiska się powtarzają, tylko w innym zdecydowanie gorszym, kontekście.

Modyfikuję więc własną współczesność. Pomaga mi w tym kot, przebiegła, wrażliwa Bristi. Lubię bawić się z nią zabawką na sznurku. Wieczorem układam na biurku suche kocie granulki, a ona potem przychodzi i szuka ukrytych przysmaków. Nie zawsze znajduje wszystkie, ale i tak jest bardziej rozbudzona od niejednego czołowego polityka. Słucham jej mruczenia, to świetna, uspokajająca muzyka oraz przemówienie w kocim języku.

Pomyśli Pani: „wesołe jest życie starszuszka”. Może i wesołe. W każdym razie trzeba coś robić dalej. Co? Nie wiem. Zaskoczenia przynoszą wszystkie nowe chwile, a więc pożyjemy, zobaczymy. Staram się nie tracić spostrzegawczości.

Pozdrawiam Panią serdecznie, życząc pięknego, ciepłego i spokojnego lata, które się właśnie zaczyna –

Stefan Jurkowski

